Nr. 3. Lwów dnia 11. Czerwca 1871. Rok I.

GAZETA LITERACKA

Wychodzi co 1., 11. i 21. każdego miesiąca

Przedpłatę i ogłoszenia przyjmuje bióro Administracji Dziennika polskiego we Lwowie.

Przedpłata wynosi:

Z przesyłką pocztową w Państwie Austrjackiem:
rocznie **3** złr. **60** cent., półrocznie **1** złr. **80** cent., kwartalnie **90** cent.

Z przesyłką pocztową za granicę:
rocznie **4** złr., półrocznie **2** złr., kwartalnie **1** złr.

Ogłoszenia

przyjmują się za opłatą **6** cent. od wiersza drobnym drukiem, oprócz opłaty stemplowej **30** ct. za każdorazowe umieszczenie.

Całoroczni abonenci otrzymują bezpłatnie ilustrowany kalendarz na r. 1872.

Listy Nie-Juniusza.

List III.

O stowarzyszeniach oświaty ludowej.

Wykazałem w poprzednim liście, iż w dzisiejszym systemie zakładania i utrzymywania szkół ludowych, zasadnicza jest wada, która koniecznie usuniętą być winna, jeżeli chcemy rozpocząć na serjo dzieło oświaty ludu.

Sama szkoła ludowa, by i najlepsza, nie wystarczy, nie zdoła wszelkim odpowiedzieć potrzebom. Najgorliwszy nawet i najzdolniejszy nauczyciel w umysły uczniów swych zdoła wlać pewną tylko miarę wiedzy — poczem umysł młodociany, jeżeli sam sobie zostawiony, jeżeli nie zaopatrzony w środki dalszego kształcenia się i wyrabiania, całe życie karmić się musi okruszynami tej szkolnej wiedzy, które zaprawdę nie wystarczą na zawsze, na wszystkie zmiennego życia koleje. I dzisiaj widzimy we wielu gminach włościan, którzy ludową szkołę przebyli, a od innych tem tylko się różnią, że umieją czytać i pisać... nic więcej. O tych zatem powinniśmy pamiętać, starać się o to, by wydawano pożyteczne dziełka dla nich, by się te książki do ich rąk dostały, z pożytkiem przez nich były czytane, by wreszcie utworzono instytucje, w których nawet i zupełnie nieuczony umysł, praktycznie kształcićby się mógł i rozwijać.

I owoż to jest obszerne bardzo pole dla stowarzyszeń ludzi dobrej woli, goraco czujących potrzebę oświaty ludu, szczerze pragnących tej oświacie pracę swoją poświęcić. O tych też stowarzyszeniach dziś mówić zamierzam.

Nie wiele mam do powiedzenia o ś. p. krakowskiem Towarzystwie Oświaty. Był to od razu płód poroniony. Odziedziczoną po ojcu swym chorobą związało się Towarzystwo z Wydawnictwem dzieł tanich i pożytecznych p. Trzecieskiego, które było bardzo tanie, a dosyć pożyteczne — ale też nadzwyczaj niepraktycznie prowadzone, i w chwili zawiązania Towarzystwa umierało na finansowe suchoty. Połączywszy się tak ściśle ze suchotnikiem, popełniło towarzystwo ten jeszcze drugi błąd zasadniczy, iż zamiast starać się najprzód przyjść do sił i zdrowia, a potem działanie swe rozszerzać, przyjęło od razu tak szeroki zakres działania, iż znakomicie on przewyższał nadwątlone siły chorego. Miało Towa-

rzystwo robić **w s z y s t k o**, cokolwiek na polu oświaty jest do zrobienia, i słusznie jakiś dowcipny fejletonista krakowski wyliczając prace przez towarzystwo zamierzone, dodał złośliwie: „uniwersytetów zakładać nie będzie.“ Zapomniano o tem, iż jak w przemysłowej tak i w umysłowej produkcji, podział pracy niezbędnym jest warunkiem powodzenia. Wzięto na się wszystko — i dla tego nie zrobiono nic. Towarzystwo, złożone z powag bardzo czcigodnych, ale nieco ciężkich, jakoby przestraszone ogromem pracy zakreślonej w programie, uciekło się pod skrzydła wielkich panów, i... spoczęło snem błogosławionych. *Sit tibi terra levis!*

Więcej warunków żywotności miało już w zawiązku swym **S t o w a r z y s z e n i e p r z y j a c i ó ł o ś w i a t y l u d o w e j**, założone we Lwowie. Nie brało na siebie żadnych grzechów jakiegoś poprzedniego wydawnictwa — a określając swój program działania, zachowało należytą miarę, ograniczając się do tego tylko, co wykonaniu jest możliwem — a zatem: wydawnictwo dzieł ludowych, kolporterja, rozsprzedaż i rozdawanie dziełek takich między ludem, zakładanie biblioteczek i czytelni ludowych, a wrazie uzbierania znaczniejszych funduszów, rozdawanie nagród odznaczającym się nauczycielem i uczniom szkół ludowych.

Towarzystwo po zawiązaniu się, wybrało w powiatach delegatów, mających zawiązać oddziały powiatowe. Wystosowano gorącą do kraju odezwę, na delegatów wezwano ludzi energicznych i wypróbowanych już we wielu pracach publicznych, a oznaczając roczną wkładkę na 1 złr. dając oraz możność płacenia jej w kwartalnych ratach po 25 cent. żywiono nadzieję, że Stowarzyszenie wkrótce tysiące członków liczyć będzie. Część funduszów zebranych w powiecie, miała zostać na użytek powiatu, a zatem na zakładanie czytelni, zakupno dla nich książek, itp. — część druga zaś miała iść do zarządu centralnego na koszta administracji centralnej, na wydawnictwa i t. p.

Na pierwszym zaraz zjeździe delegatów podniosło się — na wzór Towarzystwa rolniczego — wołanie o autonomję. Powiaty są pełnoletnie — mówiono — wiedzą, czego im potrzeba, zresztą tak są różne pod względem tych potrzeb, że gdy jedne będą zakładać czytelnię, drugie przedewszyskiem premjować będą nauczycieli i uczniów. A zatem trzeba im zostawić zupełną autonomję, a wskutek tego i największą część pieniędzy, a zarządowi centralnemu to tylko posyłać, co mu na administrację jest niezbędnie potrzebnem. Zdawało się z tego, że oddziały dopominając się takiej autonomji, pragnąc u siebie wszelkie zatrzymywać fundusze, rozwiną jak najenergiczniejszą działalność. Życzeniu delegatów przeto stało się zadość, a to tembardziej, iż na walnem zgromadzeniu tylko delegaci oddziałów głosują, a członkom Zarządu centralnego głos tylko doradczy przyznano.

Tymczasem oddziały, które tak dzielnie walczyły o autonomję, nie rozwinęły tej działalności, jakiej ważność sprawy wymagała. W bardzo wielu powiatach delegaci nie zdolali zawiązać oddziałów, i poodsyłali mandaty; inni żadnej wcale nie dali odpowiedzi. Z oddziałów, które się zawiązały, od wielu Zarząd centralny nie może się doprosić rachunków i sprawozdań, z którychby można wiedzieć jaki właściwie stan Stowarzyszenia i prac jego, jaka liczba członków, jaki stan ogólny funduszów. Zarząd centralny zatem, zdany na łaskę prawie oddziałów, ani wydawnictwa na szerszą skalę rozwinąć, ani administracji swej uregulować nie może. Towarzystwo więc chromieje — ale żyje, i jeżeli Zarząd rozwinie większą energję, jeżeli czasopisma towarzystwem tem zajmą się więcej niż dotąd bywało, i do energicznej pracy w oddziałach nawoływać będą, może jeszcze dotychczasowe trudy i wydatki nie pójdą marnie, i Stowarzyszenie się rozwinie.

Zarząd centralny wydał dotychczas: katalog dzieł ludowych — Opowiadania p. Walentego przez Grzesia z Mogiły — i Siedm wieczorów przez Józefa Supińskiego. Rozesłano w trzech latach przeszło 8.000 tomów różnych dzieł — założono przeszło 50 czytelni i bibljoteczek. Liczba członków w roku 1869 wynosiła 2.200, w roku 1870 zmniejszyła się widocznie, dokładna cyfra jednak nie jest nam znaną. Że zaś Stowarzyszenie nie rozwija się, ale cofa, najlepiej dowodzi sprawozdanie z roku 1870 w porównaniu z rokiem 1869. Oto gdy w roku 1869 ogół dochodów zarządu centralnego wynosił 2.454 złr. 55 ct. w czem wkładki przesłane przez zarządy oddziałowe reprezentują cyfrę 1.157 złr. 5 ct. — w roku 1870 ogół dochodów wynosił 1.128 złr. 71 ct., a wkładki z oddziałów przesłane 474 złr. Obie cyfry spadły niżej połowy.

Rozpisałem się obszerniej o tem Towarzystwie z powodu, że historja jego dowodzi najlepiej, jak dalece w kraju naszym nie rozwiniętem jest jeszcze poczucie potrzeby oświaty ludowej, jak mało jest ludzi, którzy szczerze tą sprawą zająć by się chcieli. Czyż towarzystwo, wymagające od swych członków tylko 1 złr. rocznej wkładki, niepowinnoby mieć w kraju najmniej 10.000 członków? Czyż kobiety nasze, które dawniej tak gorliwie się tą sprawą zajmowały, niepowinneby do Towarzystwa licznie należeć, i gorliwą w oddziałach powiatowych rozwinąć działalność? Czyż duchowieństwo nasze, czyż wreszcie nauczyciele lepiej nieco uposażeni, nie powinniby z obowiązku powołania swego najsilniej Towarzystwo popierać? Ale tak u nas zawsze! Wiele o swobodę wołania — a pracy w granicach już uzyskanych swobód tak mało, tak bardzo mało!

Innego rodzaju są istniejące w kilku powiatach Stowarzyszenia Oświaty pod nazwą *„Mrówka.“* Te rozciągają swoją działalność tylko na powiaty. W niektó-

rych powiatach Stowarzyszenia te rozwinęły czynność prawdziwą, i mogłyby być przykładem dla oddziałów powiatowych Stowarzyszenia, o którem mówiliśmy poprzednio — w innych jednak zawiązanie „Mrówki“ było tylko pozorem dla odłączenia się od Stowarzyszenia ogólnego. Nasuwa się tu pytanie, czy lepszem jest Stowarzyszenie działające w małym zakresie powiatu, czy też może lepszem jest krajowe?

Według mnie — krajowemu zawsze należy się pierwszeństwo, choćby tylko dla tego, że skupienie sił lepszem jest od ich rozstrzelenia. Stowarzyszenia działające w powiecie tylko, dwóch rzeczy ważnych osiągnąć nie mogą: nie mogą zająć się wydawnictwem, a powtóre nie uzyskają nigdy tak zniżonych cen za książki, jakie zyskać może Towarzystwo krajowe, które rozsyła tysiące tomów, i znaczne od księgarzy dostaje rabaty. Towarzystwo oświaty zaś nigdy celu nie osiągnie, jeżeli nie zajmie się wydawnictwem, jeżeli nie zbierze funduszów takich, by to wydawnictwo na wielką skalę prowadzić, jeżeli tem samem nie będzie wywierać wpływu na kierunek literatury ludowej.

Dla tego byłoby najpożyteczniej, gdyby wszystkie owe samoistne Towarzystwa powiatowe stały się krajowemi, gdyby przesyłały temuż część swych funduszów na wydawnictwa, z czegoby im wiele w książkach zwróconem zostało, a reszty używały w powiecie na zakładanie czytelni, bibliotek, rozdawanie nagród i t. p. Nie ubliży to bynajmniej autonomji powiatów, te bowiem będą mogły zawsze jeszcze znaczną rozwinąć działalność, a przyczyniłoby się znacznie do podniesienia u nas literatury ludowej. Zwracam zresztą uwagę i na tę okoliczność, że jeżeliby przez kilka lat znaczniejsze sumy mogły być używane na wydawnictwo, i jeżeliby oddziały zajęły się gorliwie rozsprzedaniem książek przez Towarzystwo wydawanych, po latach kilku kapitał tak znaczny w ciągłym będąc obrocie, opłaciłby się wybornie, a dochód z rozsprzedaży książek, wystarczyłby na pokrycie kosztów administracji centralnej, i na nowe wydawnictwa. Po kilku latach zatem nie rozstrzelonej jak dzisiaj, ale skupionej — nie jak dzisiaj niedbałej, ale gorliwej pracy, mogłyby wszystkie wkładki członków pozostać w powiatach, a zarząd centralny miałby jedynie dochody z wydawnicwa.

Jest jeszcze jedno Towarzystwo, które mogłoby się zlać ze Stowarzyszeniem oświaty ludowej, t. j. Towarzystwo „*Naukowej Pomocy*.“ Celem jego jest, dzieciom ubogich, szczególniej włościańskich rodziców, udzielać w szkołach pomocy, i być im opiekunem niejako. Gdyby u nas wiele było sił do pracy, istnienie oddzielne tego Towarzystwa byłoby usprawiedliwionem. Ależ kto nie wie, jakie są u nas stosunki? Któż nie wie, że w każdym powiecie ledwie kilka jest osób gorliwych i chętnych, któremi się Towarzystwa wszystkie posługują? Skutkiem tego, każde nowe Towarzystw mające swe filje w powiatach, jest nowym dla tych ludzi ciężarem, a mnogość tych Towarzystw obudza w końcu niesmak i zniechęcenie. Pomoc naukowa, mająca cele tak bardzo zbliżone do Stowarzyszenia oświaty ludowej, mogłaby zatem i powinna z niem się połączyć, a to w ten sposób, iż zarządy oddziałowe i zarząd centralny byłyby połączone, administracja wspólna, a zatem tańsza, a członek każdy mógłby wkładkę swą dawać z wyraźnem przeznaczeniem albo na Pomoc naukową, albo na Oświatę, albo na jedno i drugie. Fundusze byłyby w księgach prowadzone osobno — ale wspólne zarządy, wspólne walne zgromadzenia powiatowe i zgromadzenia delegatów, odjęłyby każdemu wymówkę, że nie bierze udziału w jednem Towarzystwie, bo już należy do drugiego, a nie ma czasu. Że zaś tem się u nas wymawiają — wiemy z doświadczenia.

O Stowarzyszeniu ruskiem „*Proświty*“ możemy tyle tylko powiedzieć, że wzięło się do pracy z energją, tchnie życiem młodzieńczem, drukuje wiele i dobrych książek, a mając poparcie u młodego duchowieństwa i wielu nauczycieli, bardzo jest pożytecznem.

Wreszcie należy tu także „*Towarzystwo Pedagogiczne*,“ które może wpływ znakomity wywrzeć na oświatę ludu, działając bezpośrednio na szkoły i nauczycieli. Nie raz jeszcze o niem przyjdzie mi wspomnieć — tu tylko jedną jeszcze uczynię uwagę: Ażeby szkoła mogła korzystnie działać, musi istnieć ścisła harmonja między nią a rodziną. Założyciele towarzystwa pedagogicznego marzyli o tem, że przywróci ono i utrwali tę harmonję, a to przez przystąpienie do Towarzystwa znacznej liczby rodziców. *Sonderbare Schwärmer!* Nauczyciele sami licznie przystąpili do Towarzystwa — rodzice stoją dotąd na uboczu, a w czynnościach i rozprawach jego, żadnego nie biorą udziału. Takto u nas dzieje się ze wszystkiem!...

ELEKTRA.

Ustęp z tragedji Sofoklesa

tłumaczony przez

HUGONA WRÓBLEWSKIEGO.

(Dwa półchóry ugrupowane symetrycznie na ołtarzu zwanym Thymele w głębi sceny, na przodzie stoi **Elektra**; **Orestes** wchodząc z **Pyladesem** i orszakiem zwraca się do **Chóru**, jeden z orszaku niesie urnę.)

Orestes (do chóru).

O niewiasty! czy trafnie drogę nam wskazali,
Czy tędy wiedzie? gdzie cel mego przeznaczenia?

Chór.

Któż jest o kogo pytasz, jakie twe życzenia?

Orestes.

O Aegistha, gdzie on jest, dawnośmy pytali.

*

Chór.

Tak, tutaj, dobrze idziesz, on mieszka w tym grodzie.

Orestes.

Żeśmy tutaj przybyli, któraż z was niewiasta
Wieść dla nich upragnioną poniesie do miasta?

Chór (wskazując na Elektrę).

Ta będzie twą zwiastunką, jeżeli w tym rodzie
Temu, komu wieść niesie — blizką bardzo będzie.

Orestes (do Elektry).

Idź niewiasto i powiedz, że z Phoceji męże,
O Aegistha już dawno dopytują wszędzie.

Elektra.

O! przeczucia mnie wrogie cisną jakby węże,
Wszak nie są jeszcze prawdą przeczuć moich głosy,
Aby urzeczywistnić o nim straszne wieście?

Orestes.

Nigdym nie słyszał żadnych, lecz mnie białowłosy
Strophios posłał tu do was, abym o Oreście,
W poselstwie mem przekazał ważne dziś nowiny.

Elektra.

Nowiny? powiedz jakie? o powiedz jedyny!
Jakaż mnie dzisiaj trwoga i boleść przejmują!

Orestes.

Zobacz w tej oto urnie szczątki się znajdują
Z niego pośmiertne, widzisz, że my o nim wieści
Wielkiej wagi niesiemy.

Elektra.

Przebóg! cios boleści
Dotknął mnie dziś nieszczęsną!... więc już moim wzrokiem
Oglądam rzeczywistość, więc przed mojem okiem
To już jest jawnem teraz... o! biada mi biada!

Orestes.

Jeśli bolejesz nad nim. jeśliś z trwogi blada,
Jeśli łez nad Oresta niedolą zdrój płynie,
To wiedz... że jego prochy to mieści naczynie.

Elektra.

O! pozwól mi przychodniu — zaklinam na bogi,
Niechaj obejmą ręce, co tak drżą od trwogi
Urnę... kiedy w niej prochy jego są złożone.
Niechaj sama nad sobą i łzami zroszone
Cienie... nad całym rodem, niech wydadzą jęki
Ze mną bolesne!

Orestes.

Daj jej, niech weźmie do ręki,
Bo nieobłudnie o to błaga ona rzewnie
Lecz jest mu przyjaciołką, albo krewną pewnie.

Elektra (trzymając urnę).

O! ty pomniku dla mnie najdroższego z ludzi,
Szczątku życia Oresta — już cię nikt nie zbudzi!...
Zniknęły dla mnie wszelkie marzenia, nadzieje,
Bo tylko nicość twoją trzymam w mojem ręku;
Kwiat życia twego zagasł, już nie zajaśnieje,
I już... o! nie usłyszę głosu twego dźwięku!
Nie takiego cię witam jak przy pożegnaniu
Kiedym cię wyprawiała z domu bracie luby
W sile, w blasku młodzieńczym... bodaj przy rozstaniu
Słońce pierwej zagasło, nim ciebie w świat zguby,
W kraj daleki wysłałam do nieznanej ziemi;
Czemu lepiej w tej chwili dłoń ma nie wywarła
Ciebie z sideł morderczych, abyś między swemi
Raczej w tym dniu śmierć znalazł, aby twego ciała
Życia twojego szczątki złożyć w ojca grobie!
A ty... w obcej ojczyźnie, tułacz w obcem mieście
Marną śmiercią zginąłeś — i nie mogłam tobie
Czci kąpielą okazać, dłonie me niewieście,
Nie mogły już pozbierać, jak obrządki każą.
Prochów twych z resztek ognia o mój skarbie drogi, —
Lecz ciebie obce ręce, z obcą tobie twarzą
Pogrzebały nieszczęsny! Dziś, z dalekiej drogi
Powracasz znowu do nas szczątką tylko drobną.
W tej oto małej urnie! O! szkoda podobno
Tej pieczołowitości, com nią otaczała
Życie twe nadaremnie z tak wielką słodyczą:
Bo ani ciebie matka tak nieukochała,
Ani nikt w domu, jak ja... bo nianką słowiczą
Byłam zawsze dla ciebie, czuwając nad tobą, —
I ty siostrą najlepszą nazwałeś mnie bracie.
Dziś... wszystko jak huragan w grób zabrałeś z sobą,
I wszystko się skończyło dziś po twojej stracie!
Ojciec umarł... tyś umarł... sny mojej młodości,
Życie w grób się zamienia!... a wróg... wróg się śmieje,
I matka-tyran szydząc szaleje z radości...
Tyś mi przed nią tajemnie zwiastował nadzieję,
Że się w twojej postaci ma objawić mściciel —
Lecz okrutny los nie chciał, by się to spełniło;
Jako postać najdroższa, jako wybawiciel
Miałeś się nam okazać — przybyłeś mogiłą!
O! bolesny obrazie,
O! biada mi, o biada!
Przebóg biada niestety! Straszną powróciłeś
Drogą do mnie najmilszy, — serce me siostrzane,
Zamieniając mnie w nicość, zabiłeś... zabiłeś!
Pozwól niech moje prochy z twemi wespół zwiane,
I moję nicość z twoją jeden grób połączy,
Niechaj się z twojem życiem i moje zakończy!
Wszak jeśli radość, szczęście, dzieliłam cierpienia
Z tobą, kiedyś żył jeszcze — to dziś, gdy marzenia,
Gdy się całe me życie w grobie twoim mieści...
Niech umrę... bo umarli nie znają boleści!

Chor.

Elektro! nie rozpaczaj, wszakże był śmiertelnym
Ojciec twój i Orestes, choć był mężem dzielnym,
To i on był człowiekiem; rozpaczać nietrzeba,
Bo nam wszystkim w przyszłości umrzeć każą nieba!

Orestes.

Przebóg! co jej powiedzieć!.. o! tej strasznej burzy
Już nadto w mojem sercu, bo nie mogę dłużej
Wstrzymać się od mówienia... nie mam więcej siły.

Elektra.

Czemu cierpisz? twe słowa, co one znaczyły?

Orestes.

Czyś to ty jest Elektro? czyżby była ona,
W swych harmonijnych kształtach pięknem spromieniona?

Elektra.

To ona... jak nędznica cierpieniem zmieniona.

Orestes.

Niestety! straszne bole płyną z twego łona.

Elektra.

Cóż to, ty się litujesz przychodniu nademną?

Orestes.

O! kobieto męczarnią styrana nikczemną!

Elektra.

Nad kim wyrzekasz, mężu... nie nademną przecie?

Orestes.
O! nieszczęsna, więdnieje życia twego kwiecie,
Dziewicze w tych cierpieniach!

Elektra.
Czemu takie żale
Wylewasz, patrząc na mnie?

Orestes.
Czyżem żadnych wcale
Nie zaznał chwil męczarni?

Elektra.
Jakież twe cierpienia

Orestes.
Gdy patrzę, że tak mężnie znosisz udręczenia!

Elektra.
Zaprawdę! jedno widzisz w mych cierpień przestworze.

Orestes.
Lecz czyż nad te straszniejsze człowiek ujrzeć może?

Elektra.
O! bo tu z mordercami muszę wieść me życie!

Orestes.
Z czyjemi? jaki powód tej skargi me dziecię?

Elektra.
Z ojca mego zbójcami! o! i wysługuję
Im się jeszcze, zmuszona.

Orestes.
Któż więc tak krępuje
Wolność twą udręczeniem?

Elektra.
Matką zwie się ona,
Lecz jest bez serca matki.

Orestes.
Czemś uciemiężona,
Przez nią? czyny srogiemi, czy twoją swobodę
Udręczając, chce zabić twoje lata młode?

Elektra.
Prześladuje mnie wiecznie, jarzmi wolę, dłonie.

Orestes.
Nikogoż tu więc nie ma, coby w twej obronie
Stanął?

Elektra.
Nie ma!... był jeden, ale z niego trocha
Przyniosłeś mi dziś szczątek i tę garstkę procha!

Orestes.
O biedna, nieszczęśliwa! widzieć boleść twoją
To pierś się krwawi z żalu.

Elektra.
Nad niedolą moją,
Ty pierwszy zabolałeś litościwym głosem.

Orestes.
Bom jeden jest, co idę cierpieć nad twym losem.

Elektra.
Czyżbyś to był ty... o! nie... wszak chyba wcale
Krewnym naszym nie jesteś.

Orestes.
Powiedziałbym, ale,
Przed temi mam obawę.

Elektra.
Nigdy te dziewice
Nie zdradzą nas, nie bój się.

Orestes.
Odrzuć popielnicę
A wszystko ci opowiem.

Elektra.
Przebóg! tej katuszy
Nie czyń mi jej przychodniu!

Orestes.
Radość w twojej duszy
Spromieni boleść, żale, lecz zrób, o co proszę.

Elektra.
Zaklinam cię, błagania do ciebie zanoszę,
Nie wydzieraj mi skarbu, co tak dla mnie drogi!
. . . .

Orestes.
Nie czyń tego!

Elektra.
Niestety! ileż me niewieście
Serce cierpień dziś znosi, dla ciebie Oreście,
Gdy mi twe prochy biorą!

Orestes.
Niechaj usta twoje
Zamilkną, bo na próżno łez wylewasz zdroje.

Elektra.
Czyż nie mam opłakiwać brata umarłego

Orestes.
Nie tobie o tem mówić.

Elektra.
Czyż niegodnam jego?

Orestes.
O nie! tyś wszystkich godna, ale mówić tobie
Już niepotrzeba o tem.

Elektra.
Jeśli w tym tu grobie,
Oresta trzymam szczątki........

Orestes.
Nie! to nie są one,
Nie Oresta, to tylko baśnie wymyślone!

Elektra.
Gdzież więc nieszczęśliwego, gdzież grób jest prawdziwy?

Orestes.
Nigdzie! bo ten go nie ma, kto jest jeszcze żywy.

Elektra.
Coś powiedział młodziencze

Orestes.
Wszak mówiłem szczerze,
Prawdę tylko....

Elektra.
Żyjesz on... o! bo ja nie wierzę.

Orestes.
Chyba żem jest bez duszy, lub żem grobu cieniem.

Elektra.
Ach! czyż ty... ty nim jesteś?

Orestes.
Tym ojca pierścieniem,
Przekonaj się i przyznaj, że prawdę mówiłem

Elektra.
O najmilszy dniu w życiu!

Orestes.
O nim tylko śniłem!

Elektra.
Zawitało me szczęście gwiazdą dla mnie złotą!
Orestes.
I nikogo się pytać już nie będzież o to!
Elektra.
Więc ciebież znowu ściskam, ciebie — czy podobna?
Orestes.
I chyba nas rozdzieli pieśń śmierci żałobna!
Elektra.
O! dziewice najmilsze, o! najmilsze córy
Ojczyzny naszej! oto... już się słonił grobem
Orest mój w dziwny sposób i dziwnym sposobem,
Zmartwychpowstał i żyje... o najmilsze córy!

Ołomuniec

Wspomnienie z lat 1864 i 65.

przez

Tadeusza Romanowicza.

(Ciąg dalszy).

Na drugi dzień rano zbudził nas łoskot otwieranych drzwi. Wniesiono nam świeżą wodę, i cienką kawę z fabryki pani profosowej. Zapaliliśmy znowu w piecu, i z niecierpliwością oczekiwali chwili, w której nas puszczą na przechadzkę, wiedzieliśmy bowiem, że ujrzymy tam kolegów naszych, którzy już po kilka miesięcy tu przebyli. Było ich dziewięciu: Sędziwy, a przez wszystkich poważany Henryk Janko z Hoszan, Pawlikowski Mieczysław, Kalicki Bernard, Bielański (Australczyk z emigracji po r. 1843) pułkownik Kozłowski Walery, Siemiński Jan, Bystrzonowski Leopold, Feirich Aleksander, i Różycki z Krakowa, który jednak jako były wojskowy nie był trzymany razem z nami, ale wsadzono biedaka pomiędzy oficerów skazanych za różne pobożne a wcale nie polityczne uczynki.

Około godziny dziewiątej usłyszeliśmy jak otwierano jedną kazamatę po drugiej, i wołano „*Spazieren*". Była to chwila prawdziwie wesoła — jeżeli w takiem położeniu o wesołości mówić można — kiedyśmy ujrzeli znowu naszych towarzyszy ze Lwowa, i udzielili m wiadomości z kraju, tak bardzo pożądanych, a tutaj tak rzadko dochodzących.

Prędko rozpatrzyliśmy się w naszem nowem więzieniu. Był to stary, kazamatowany wał forteczny, przysypany z wierzchu ziemią więcej niż na sążeń wysokości. Przez środek wału szedł korytarz tak ciemny, że musieliśmy po nim chodzić wolno, krok za krokiem, by jeden drugiego nie rozbił. Po obu stronach kurytarza są umieszczone kaźnie. Z jednej, rząd kazamat większych, z wielkiemi oknami, wychodzącemi na miejsce naszych przechadzek. Był to brukowany dziedzińczyk, ośm kroków szeroki a ośmdziesiąt długi, zamknięty z jednej strony wałem a z drugiej klasztorem pp. Urszulinek, a po bokach wysokiemi murami i bramami — tak, że chodząc tam nie widzieliśmy nic prócz kawałka nieba nad głowami — i tylko, gdy przypadkiem podczas przechadzki kto wchodził, i otworzono mu bramę, można było widzieć nieco „świata" jak się mówiło. Naturalnie że wtedy wszyscy zbiegali się, by być bliżej bramy, i choć coś trochę dojrzeć. Dla uprzyjemnienia tej przechadzki, przecinały dziedziniec dwa tak woniejące rynsztoki, że czasem musieliśmy przed niemi do cel naszych uciekać. Jedyną ozdobą był kasztan, zasadzony w roku 1849 przez Polaków, którzy tam odsiadywali kary za udział w rewolucji węgierskiej.

Z drugiej strony kurytarza, idącego środkiem wału, umieszczone były kazamaty mniejsze, w których po dwóch tylko mogło wygodnie mieszkać. Później dopiero, kiedy liczba nasza znacznie wzrosła, dawano do nich po trzech więźniów, co już bardzo było niewygodnem. Te mniejsze kazamaty o wiele były gorsze od większych. Mur zewnętrzny bardzo był gruby, tak, że we framudze okna można było wygodnie stół pomieścić. W tym grubym murze okienko małe — nad niem na górze strzelnica pochyło wyżłobiona, a zamknięta szklanną szybką, a z tego wszystkiego światło w pokoju jakieś niepewne, dwoiste, bardzo dla oka szkodliwe. Widok z okna nie świetny, bo u stóp wału fosa, tak czystą zapełniona wodą, że w obec niej nurty naszej szanownej Pełtwy wydałyby się jak najczystsza źródlana woda. Za fosą wał wysoki, a z okna naszego po nad tym wałem tylko maleńki kawałek nieba było widzać. Co to za pociecha, kiedy na tym kawałeczku nieba pokazał się księżyc. Zbiegaliśmy się wszyscy do okna, komunikowali sobie z kaźni do kaźni tę radośną nowinę — ale radość nie trwała długo, księżyc wkrótce znikał z miną jakoby drwiącą z nas siedzących za kratą. Kaźnie też z tej strony położone, były nadzwyczaj wilgotne, tak że rzeczy nam wszystkie pleśniały.

Podczas spaceru, skazanym na ciężkie więzienie do których i ja miałem zaszczyt należeć, poprzypinano „dekoracje" jak się mówiło, t. j. łańcuszki ważące do trzech funtów, a skute na obu nogach. Trochę to niewygodna historja, bo i z ubiorem trudno sobie dać rady, i chód trzeba zastosować do tego, ucząc się chodzić szeroko a krótkiemi krokami, jak nieprzymierzając kaczka. Wyobrażałem sobie zawsze, iż dla więźnia uczucie przy zakuwaniu w kajdany musi być upokarzającem — więcej jednak widziałem upokorzenia na twarzach tych, którzy z nami tę operację odbywali, choć w tych ludziach już nie wiele było ludzkiego uczucia. Najbardziej jednak upokarzającem było to dla rządu, który się cywilizowanym mienił, a ludzi skazanych za przekonanie swe narodowe, trzymał jak zwierzęta na uwięzi w żelazach. Uznał też to wkrótce: po kilku bowiem tygodniach wyszło rozporządzenie ministerjalne znoszące kajdany dla więźniów politycznych.

Oprócz Vimpellera, i wymienionych już poprzednio kolegów, zastaliśmy w Ołomuńcu czterech jeszcze politycznych więźniów, a mianowicie trzech Węgrów: Majerfiego, Rajnera i dra Emmerika, skazanych za jakiś spisek jeszcze w r. 1861 i 2, tudzież Włocha Zanettego. Był to aptekarz z małego jakiegoś miasteczka w Weneckiem, skazany na lat 12 za to, iż znaleziono u niego kilka petard, człowiek wcale już podeszłego wieku, niezamożny, mający liczną rodziną. Mimo tak surowego wyroku i mimo wieku swego zachował całą swobodę umysłu, a szczególnie wesołą miał minę w obec naszych stróżów, t. j. profosów, poruczników, kapitanów i t. p. Bo — mówił zawsze —niech widzą, że mi nic nie zrobią. Poczciwy Włoch powitał nas z włoska wymówionem: „Jeszcze Polska nie zginęła“ — czego się nauczył od pierwszych ze Lwowa przybyszów.

Na kilka tygodni przed naszem przybyciem wypuszczony został z Ołomuńca poeta serbski Nikolicz, który tam siedział jeszcze od r. 1849. W Aradzie, gdzie poprzednio przez jakiś czas był trzymany, uknuł z kilkoma innymi plan ucieczki. Plan odkryto, a Nikolicza wtrącono do podziemnych lochów, gdzie na łańcuchu do ściany był przykuty. Tak wysiedział przez rok cały. Mimo długoletniego, a tak okropnego więzienia, miał być jeszcze wcale dzielny i nie złamany na duchu.

Nie sami jednak polityczni więźniowie zamieszkiwali tę część wału, byli tam także oficerowie, za pospolite zbrodnie na więzienie forteczne skazani. Trzymano ich osobno od nas, i nie wypuszczano razem z nami na spacer. Mniemali być czemś lepszem od nas. Wszak oni państwu usługi swe poświęcali — a jeżeli przytem nie zbyt czyste zachodziły sprawki, jeżeli kogo z nich schwytano na uczynku, to było to w ich mniemaniu tylko nieszczęście, podczas gdy nasze mniemane przewinienia uważali jako istotne zbrodnie, nas jako istnych zbrodniarzy. Opowiadali też nieraz swoje dzieje — a były to rzeczy wcale ciekawe. I tak między innymi siedział tam Kroat Br......, były kapitan żandarmerji austrjackiej, słynny posiepak po r. 1849. We Węgrzech imię jego głośnem jest, a niejedna rodzina węgierska przez niego opłakuje stratę ojca lub syna, bo nikt tak zaciekle a tak przytem sprytnie, jak on, nie umiał wyszukiwać podejrzanych i kryjących się. Słynnem z przebiegłości i z brutalnego sposobu wykonania, było uwięzienie sióstr Telekiego, także dzieło kapitana Br. Ztąd oczywiście łaski, awans i ordery. Pan kapitan jednak lubiał dobrze żyć, pensja nie wystarczała, trzeby było ratować się innemi środkami. Okazały się wkrótce różne sprzeniewierzenia, których ogólna cyfra wynosiła 40.000 zł. „Kiedy mnie uwięziono do śledztwa — opowiadał — na przeciwko sztokhauzu w którym siedziałem, odbywały się u szewca chrzciny. Po kilku miesiącach widziałem, jak matka wynosiła dziecko na próg domu, i tam się z niem bawiła. Później dziecko raczkować poczęło przed progiem, ba biegać samo po ulicy — ja jeszcze siedziałem w śledztwie! Pod memi oczyma dziecko to rosło — samo już biegało po ulicy — grało w piłkę z rówieśnikami i nieraz przerzuciło piłkę przez dach niskiego sztokhauzu — a ja jeszcze siedziałem w śledztwie! W dniu, kiedy mi odczytano wyrok, zobaczyłem toż samo dziecko z książką pod pachą idące do szkoły.“ Sześć lat siedział w śledczem więzieniu. Skazano go na lat 12 w kajdanach. „Poświęciłem rządowi wszystko — mówił nieraz — pracę całego życia, honor i sumienie, a za nędznych 40.000 zł. ten sam rząd skazał mnie na 12 lat więzienia!„ Ten człowiek czuł się pokrzywdzonym. Znakomite pojęcie moralności!

Był tam także major jakiś, którego nazwiska nie pomnę, a którego historja prawdziwie jest tragiczną. Jeszcze jako niższy oficer poznał pannę znakomicie piękną, szalenie się w niej rozkochał, i pozyskał jej wzajemność. Kilka lat trwał ten stosunek, z małą jednak dla kochanków nadzieją, bo rodzice zezwolić nie chcieli. Ustąpili wreszcie, oficer awansował na majora. W kilka miesięcy po ślubie, kiedy im szczęście ledwie się uśmiechać poczęło — staje major zrozpaczony przed żoną: „Grałem w karty. Przegrałem trochę pieniędzy z kasy pułkowej. Chciałem się odegrać, i wziąłem znowu z kasy. Grałem dalej w nadziei wygranej, i straciłem wszystko. Powierzona mi kasa już pusta. Jutro czeka mnie hańba i więzienie.“ Po naradzie z żoną, nie widząc żadnego ratunku a niechcąc przeżyć swej hańby, postanowili się otruć. I zażyli truciznę. Żona umarła. Jego zaś wyratowano, by po długiem śledztwie skazać na 10 lat ciężkiego więzienia, skazać na życie okropne, pełne wyrzutów sumienia, rozpaczy pełne i żalu za żoną, którą tak kochał, a sam był powodem jej śmierci! Nie człowiek to już był, ale cień człowieka. Jakby na proch starty chodził po więzieniu z okiem zawsze ku ziemi spuszczonem, z twarzą, która widocznie o śmierć już tylko prosiła.

Inny humorystyczniej wyglądał. Młody, sprytny chłopaczek, syn jakiegoś jenerała. Jako porucznik był raz na odwachu obok kasy. „Przypadkiem“ tak opowiadał — „wypadło dno z kasy, i pieniądze gdzieś się podziały.“ Zrobiono u niego rewizję, ale nie znaleziono pieniędzy. Zaaresztowano któregoś z kolegów. Nasz porucznik sądził, że się wykręcił kosztem niewinnego towarzysza. Po roku niespodzianie zrobiono u niego rewizję. Gdy się zbliżono do łóżka, on jak nieprzytomny porwał poduszkę wołając: „tej nie pozwolę rewidować.“ I znowu „przypadkiem“ znalazły się w poduszce pieniądze. „Und so bin ich verunglükt“ kończył opowiadanie swe, które zazwyczaj powtarzał, gdy nam spuszczał włosy; w tym bowiem kunszcie był biegłym.

Siedział tam także baron jakiś, skazany za fał-

szerstwo weksli, Baronek bawił się w eleganta, starannie zawsze pomadował włosy, i rad mówił po francuzku. Opowiadał, że do więzienia wtrąciła go luba małżonka, która żyła w ścisłej przyjaźni z innym oficerem, a wiedząc iż mąż czasami fabrykuje na wekslach podpisy, postarała się oto, iż go uwięziono, bo łatwym jest rozwód, gdy mąż skazany za zbrodnię. I w istocie podczas naszej jeszcze bytności pojawiła się elegancka baronowa z pastorem protestanckim, i w kancelarji profosa dokonano aktu rozwodu, który już sądownie był przeprowadzony.

Za fałszowanie banknotów siedział biedak jakiś, skazany na dożywotnie więzienie. Pragnął tylko rychłej śmierci, nie spodziewając się ułaskawienia. I śmierć przyszła. Dostał suchot, kajdan mimo to z nóg mu nie zdejmowano. Przeniesiono go do szpitalu — a na dwa dni jeszcze przed śmiercią, kiedy sam chodzić już nie mógł, przenoszono go do kąpieli na prześcieradłach, ale zawsze jeszcze w kajdanach, bo nie było „wyższego polecenia do zdjęcia kajdan.“ Polecenie przyszło — razem ze śmiercią.

Ale odwróćmy oczy od tych smutnych obrazów, a przejdźmy do naszego przedmiotu. (C. d. n.)

TAJEMNICE
pałacu carów.

Rozdział IV.
Babka i wnuk.

(Ciąg dalszy.)

— Chodź tu, mój wnuku, rzekła po chwili stara, wkrótce przyjdą tu po mnie żandarmi, ale znajdą tylko trupa. Ty także musisz uciekać, mój wnuku.

Słysząc wyraz ten kilkakrotnie powtórzony, żołnierz pytająco spojrzał na Marfuszę, która, zdawało się, że odgaduje jego myśli, gdyż mówiła dalej:

— Tak, mój wnuku, niegdyś miałam męża, zginął na szubienicy; miałam córkę, umarła z rozdartem sercem... ale pozostawiła syna, który pomści się za swoich. Gdyś się urodził, odesłałam cię przez jedną wieśniaczkę do domu sierót. Wkrótce wieśniaczka zmarła, a z nią tajemnica twego urodzenia. Napróżno szukano cię wszędzie, tylko moje oko czuwało nad tobą.

— Babko! zawołał żołnierz, ale stara nie dała mu skończyć.

— Nie przerywaj mi, rzekła. Czy nie powiedziałam ci, że moje chwile są policzone. Imię człowieka, sprawcy śmierci twojego dziadka, matki i mojej wraz z twojem rzeczywistem nazwiskiem, znajdziesz między papierami w tem pudełku. Weź je, to twój skarb... a bierz prędko i uciekaj, bo wiesz, co ciebie czekać może, ciebie, zbiega z Syberji, zbiega z wojska...

— Babko! zawołał żołnierz przerażony tem, iż tajemnica jego jest znana.

Stara mówiła dalej:

— Uspokój się; ja tylko jedna wiem o tem... Ale widzisz, że nie powinni cię tu znaleść, bo przepłaciłbyś to życiem, a powinieneś żyć, by się pomścić... Uciekaj, bo już idą!

— Nie babko, nie mogę cię opuścić w takiem położeniu!

— Twoja obecność nic mi nie pomoże, za chwilę przestanę żyć.

— Ależ twoja rana nie jest śmiertelną!...

— Wiem o tem, odrzekła stara, gorzko się uśmiechając, ale śmiertelną jest trucizna...

— Jakto?

— Otrułam się, aby wśród tortur nie zdradzić tajemnicy. Uciekaj więc, ale pierwej pożegnaj się ze mną. Przybliż się, niech cię pocałuję... Ale nie! nie! nie!... zanadto jesteś podobny do niego!... uklęknij tylko, bym cię pobłogosławiła.

Młody człowiek ukląkł. Stara poczęła coś szeptać nad nim, potem rzekła głośno:

— Oto jesteś poświęcony na zemstę. Ale uciekaj, gdyż słyszę, że nadchodzą!... Och! już za późno!...

I zebrawszy ostatek sił, pochwyciła żołnierza, wsunęła mu w rękę pudełko i wypchnęła do ciemnego pokoiku. Potem chciała powrócić do ławki; ale nie doszła. Padła na ziemię w kałuży krwi.

W tej chwili wszedł do pokoju jenerał Dubelt, postrach Petersburga, z dwoma żandarmami. Przybliżył się do cyganki, kopnął ją nogą i zawołał:

— Wstawaj, czarownico, i idź za mną!

Marfusza otworzyła oczy.

— A! już przyszli kaci! zawołała ironicznie. Bardzo wam było spiesznie... ale przybywacie zapóźno.

— Bez tych komplementów! wstawaj! krzyknął Dubelt, znowu uderzając nogą. Ale gdy Marfusza nie usłuchała go, rzekł do żandarmów:

— Podnieście ją, kiedy sama wstać nie chce.

Jeden z żandarmów podniósł starą i postawił na nogi. Spojrzała dokoła, głęboko odetchnęła i rzekła ochrypłym głosem:

— Powiedzcie waszemu panu, że syn zabije ojca!

I znowu padła na ziemię; a z ust jej krew buchnęła. Żandarm pochylił się ku niej, popatrzał przez chwilę, potem rzekł do jenerała:

— Jw. panie, ona nie żyje.

— Albo jest pijana. Zabierzcie to ścierwo i zanieście do mnie, taka jest wola cara.

Żandarmi wynieśli Marfuszę, a Dubelt został, by przetrząść izbę, w nadziei wykrycia jakiej tajemnicy. Bo wytrawny szpieg domyślał się w tem jakiejś tajemnicy. Inaczej, dla czegożby car kazał jemu, naczel-

nikowi tajnej policji, aby sam osobiście aresztował prostą cygankę, zaleciwszy przytem największą ostrożność i dyskrecję.

Ale przerzuciwszy wszystko, nie znalazł nic w izbie, coby mogło zwrócić jego uwagę.

Gdy wszedł do ciemnego pokoiku, dojrzał w kącie postać ludzką, usiłującą się ukryć.

Jednym skokiem podbiegł ku niej i pochwycił, wołając:

— Kto tu jest?

Ale zamiast odpowiedzi, otrzymał potężny cios w głowę tak, że na jakiś czas postradał zmysły.

Gdy przyszedł do siebie, postać owa znikła i zamknęła drzwi za sobą, tak, że Dubelt musiał przez okno przywołać swego woźnicę, by go wyswobodził.

Na drugi dzień mieszkańcy Kołomny ze zdumieniem ujrzeli, że dom Marfuszy jest pusty. Wyłamawszy drzwi, znaleźli tylko kałużę krwi na podłodze.

Od tej pory nic nie było słychać o cygance. Mieszkańcy byli tego zdania, że szatan musiał ją porwać podczas ostatniej burzy.

Rozdział V.

Saweljew.

Dziwne były losy wnuka czarownicy z Bołota.

Pozostając w szkole przy domu podrzutków, odznaczył się on tak nieposzlitemi zdolnościami, iż następnie oddano go do jednego z wyższych naukowych zakładów stolicy. Ztąd, po ukończeniu kursu, zaciągnął się do gwardji carskiej, gdzie rychło przeszedłszy niższe stopnie, awansowany został na oficera.

Wkrótce potem wszedł do towarzystwa młodych marzycieli, które w Petersburgu uorganizował niejaki Pietraszewski. Cele tego towarzystwa były niejasne; dążyło ono ku jakiejś swobodzie, której samo bliżej określić nie umiało. Czynności zaś jego ograniczały się na odbywaniu perjodycznych zgromadzeń, na których czytywano dzieła zabronione przez mikołajowską cenzurę, śpiewano śpiewki nie miłe policyjnym uszom i rozprawiano o literaturze, filozofii i t. d.

Szpiegom rządowym podobało się nazwać to spiskiem. Towarzystwo rozpędzono, głównych jego prewódców aresztowano, uznano za zbrodniarzy stanu i jako takich ukarano.

Saweljew, zdegradowany, wysłany został na dziesięć lat do kopalni sybirskich.

Gdy aż do tych odległych stron państwa carów doszła wiadomość o wybuchu wojny w roku 1853, młody katorżnik, pałający gorącą miłością ku swej ojczyźnie i chęcią walczenia za nią, umknął ze Sybiru, po długiej i niebezpiecznej podróży dostał się na Kaukaz i tam zaciągnął się do wojska jako prosty żołnierz.

W bitwie pod Basz-Kadyk-Larca pierwszy wdarł się na szańce nieprzyjacielskie, towarzysze rzucili się za nim i zdobyli baterję. Otrzymał przytem ranę w lewą rękę i prawą nogę; przedtem zaś jeszcze szabla turecka twarz mu rozcięła.

Dowiedziawszy się o tem Mikołaj, przysłał pułkowi, który się tak odznaczył, kilka krzyżów dla ozdobienia niemi najwaleczniejszych.

W Moskwie panuje zwyczaj, iż w takim razie składa się rodzaj rady z tych, którzy przyjmowali bezpośredni udział w bitwie, i ci wyrokują, komu mianowicie należy się nagroda.

Rada uznała jednogłośnie, iż obecnie przedewszystkiem Sawelejew zasłużył na krzyż św. Jurja.

Młody żołnierz nie przyjął tej carskiej łaski. Prosił tylko, by mu pozwolono rozmówić się poufnie z głównodowodzącym.

Stanąwszy przed nim, wyznał otwarcie, że był zbiegiem z Sybiru, więc jako taki nagrody otrzymać nie może. Prosił tylko, ponieważ uznano, iż zasłużył na nią, aby zamiast tego, udzielone mu zostało przebaczenie za ucieczkę i aby miał możność dalej walczyć za ojczyznę.

Głównodowodzący posłał do Petersburga tę prośbę wraz ze swym raportem, w którym podniósł waleczność młodego żołnierza, prosząc o uwzględnienie jego żądań.

Ale przebaczenie i zapomnienie nie leżało w charakterze cara Mikołaja. W opowiedź na prośby Saweljewa przysłano ze stolicy rozkaz, aby bezzwłocznie odesłany został napowrot do kopalń. Darowano mu tylko karę kijów, na jaką jako zbieg zasłużył.

Wiadomość ta zakrwawiła serce młodego żołnierza, oburzyła jego towarzyszy i naczelników. Dano mu do zrozumienia, że najlepiej zrobi, gdy ucieknie i nawet ułatwiono tę ucieczkę, wydawszy paszport.

Każdy niemal Moskal jest tego przekonania, iż wszystko złe, wszelka niesłuszność jest dziełem tych, co otaczają cara; sam najjaśniejszy car jest najsprawiedliwszym; tylko że przed nim prawdę ukrywają. Saweljew także podzielał to zdanie.

Zamiast umknąć zagranicę, udał się on do Petersburga, gdzie zamierzał w ten lub ów sposób dotrzeć do samego Mikołaja i opowiedzieć mu wszystko — pewny, że otrzyma przebaczenie.

Długo wlókł się kulawy, ranny żołnierz po niezmierzonych przestrzeniach moskiewskiego kraju. Wreszcie w jednej wsi siły go opuściły do takiego stopnia, iż kroku dalej zrobić nie mógł.

Zaszedł do karczmy, prosząc by mu pozwolono wypocząć i wypić szklankę wody. Obdarzyli go kijami chłopi, a jeden z nich wpadł na domysł, że żołnierz ten musi być zbiegiem, a zatem należy związać go i odesłać do powiatowego miasta.

Słysząc to Saweljew, struchlał. Już zabierano się

do spełnienia tegp zamiaru, gdy na szczęście jeden ze starszych, dawny wojskowy, ujął się za nim.

— A to godnie postępujecie sobie! zawołał; ranny, zmęczony żołnierz, który krew za cara przelał, wlecze się o kiju do domu — a wy go chcecie traktować jak łotra!... Wszak nie jeden z was ma syna, brata lub krewnego w wojsku!... cóż gdyby ich tak przyjęli, gdy będą powracać do rodziny... Ja sam służyłem — i długo. Widziałem nie jednego zbiega i katorżnika — ale tym inaczej z oczu patrzy... Nie krzywdźcie carskiego sługi!...

Chłopi milczeli. Wtem z tłumu wyszło śliczne jasnowłose dziewczę i podając dzban z mlekiem, rzekła do Saweljewa:

— Napij się tego, służba (tak chłopi nazywają żołnierzy) — to cię pokrzepi.

Saweljew chciwie pochwycił dzban, pił z niego długo, potem padł bez czucia. (C. d. n.)

Z wystawy dzieł sztuki

urządzonej przez

TOWARZYSTWO PRZYJ. SZTUK PIĘKNYCH we Lwowie.

II.

(Dokończenie).

Niezrównanie wyższym jest obraz Löfflera przedstawiający krzyżowców znękanych pragnieniem, w chwili, gdy pod kamieniem pustyni odkryli sączącą się wodę. Po świeżych, grających światłem pejzażach albo jaskrawych „historjach,“ ten obraz słabe czyni wrażenie; powinno się go obaczyć samotnym, by ocenić wielkość takiej sceny prawdziwie historycznej, siłę jej i prostotę. Ugrupowanie tu dobre, postawy figur zgodne z charakterem i wiekiem, całość związana, linje harmonij nie dążące w dziękczynieniu do niebios. Koloryt w dwu uzupełniających się gamach, powodzi brudno żółtych piasków pustyni i nieba lekko fioletowego zapowiadającego huragan.

I znowu trzebaby przebiedz okiem jakie klasyczne marmury, aby uczuć, w tymże rodzaju, lirycznego nastroju ale historyczny obraz p. Kornela Ustyanowicza we Lwowie,— aby trafnie ocenić odmienny a oryginalny koloryt tła i rysującej się na niem postaci. Małoruski poeta-malarz, ze studjów miejscowych Bronisława Zaleskiego akwarelowych (osobno w sztychu wydanych), dał nam ustęp z życia piewcy małoruskiego, wskrzesiciela rodzimych dum Ukraińskich.

Taras Szewczenko „za bujaństwo i wolnodumstwo rozżałowan w zaszczytniki otieczestwa, to jest' odstawlen w prastyje sałdaty bez wysługi“ w wyszarzanej szynieli, opięty unumerowanym mundurem, usiadł nad brzegiem aralskiego jeziora. Toż mu włosów posiwiała reszta, twarz posowiała i oczy siwe, błędne wlepił odziczałe przed siebie, jakby się pytał, czy długo jeszcze będzie nudził tu sobą, nad morzem zaspanem, na brudnym tym stepie i pod tem nieumytem niebem, — czy długo jeszcze nieusłyszy poczciwszego głosu od gniewnej komendy albo szyderczych szeptów oczeretów pobrzeża. Nie pozuje przed nikim a cały ociężał, tak mu wypaliły się umysł i serce, w podskokach daremnych, trzymane w ciasnej klatce stannicy wojskowej, widnej po za nim. Zmęczył się wreszcie gorączkowem a jałowem bujaniem myślami po bezdusznych przestrzeniach dokoła, po morzu sinem, gdzie ani łodzi niewidno, ani u brzegu nic się nie źwierciedli, po stepie dzikim, gdzie żaden ślad życia, żaden przedmiot utrudzonemu oku nieda wypoczynku. A niebo?! równoległą płaszczyzną zaciężyło ołowiem nad takimże stepem, a na nim niby gad brzydki, rozłożył się obłok długi, olbrzymi, leniwy jakby zgryzota a jak smutek ponury. Niebo to i step ten, toć bracia rodzeni,— jak dusza mongolska nieporuszone drzemią, to na przemian orkanem się zerwą; to mózg ci spieką, wypiją albo się mrozem wściekają. Obok zadumanego wieszcza symbolem stanął grobowiec, obyczajem kirgizkim kryjący pospołu męża i żonę, więc o podwójnym nagłówku a w towarzystwie nielicznem, bo jeden tylko kamień sterczy jeszcze śród stepu, a drugi w pobliżu niego pęknięty.

Tęskno i straszno biednemu poecie, temu dziecku stepu ale innego, bo ukraińskiego, o lazurewej półkuli nieba przykrywającej, drżące pozłotą słońca, traw aksamity, burzany bujne i kwiatów ostrowy; stepu — co to ci wskaże długim szeregiem mogiły przodków, zaśpiewa o nich tęskną piosenką czumaka o kozaczem oku, zaskrzypi telegą, zabrzęczy pszczołą, wietrzykiem zaszeleści; zaszepce liściem zcałowanej, zrumienionej kaliny; oko popieści zieloną dąbrową albo przysiadłym do ziemi futorem lub jarem, gdzie ujrzysz utajoną w burzanach chatę znachorki albo błyskotliwą cerkiewkę i z obu stron jej sioło rozsiadłe nad brzegiem przejrzystego strumienia. Boleśno poecie, jak człowiekowi, który obaczy kobietę podobną do jego kochanki, a przecież nie swoją kochankę, bo też to step tylko chropowaty a nagi i spiekły, rudy od skamieniałej gliny wydającej chyba gdzieniegdzie osty dzikie lub trawy ostrej kępiny.

Liryzm głęboki, poważny ale serdeczny wyśpiewa ci tu, że bieda poecie z jego dumami. co to mu w duszy grają a dźwięczą lecz oddźwięku nieczują ani u tych ludzi ani u tej macoszej natury. Ton jeden uczucia smętny, posępny z akordu dwu barw, skalą siną i żółtą — od liliowej i jasno żółtej począwszy — schodzi się daleko w nieczułym pocałunku ziemi i nieba, w niezmiernej horyzontu oddali, czemu wybornie podołał młody, choć jeszcze niewyrobiony talent artysty, kilkoma równoległemi

linjami oczeretów na powierzchni jeziora i obłoków na niebie. I tem więcej powinien być sąd nasz dlań względnym, że z małemi studjami w rysunku, a prawie żadnemi pejzażowemi, podjął pracę tę jedynie z dziwnie trafnym kolorytu tamtejszego instynktem a gorącem uczuciem w piersiach.

Na przodzie obrazu szczegół wykończony w miarę. Poeta sam w dwu uzupełniających się barwach, bo w zielonym mundurze o wyłogach czerwonych, ożywiających koloryt — a barwą swoją jakby nieprzystających do „didczych synów" kirgizkich i stepu tego — występuje zresztą wybitnie rysunkiem i barw świeżością jak i potężnym wyrazem duchowym, by w obec tyle imponującego tła niepozostać prostym staffaż'em.

Dlaczego obraz ten zawieszono przy samej posadzce, więc pod fałszywą grą oświetlenia i w niezwykłym stosunku do oka? — a wiemy przecie co znaczy popatrzeć na obraz z przechyloną głową, odwróconą, zbytnio podniesioną albo zniżoną i t. p.

Florjana Cynka z Krakowa, Długosz znajdujący św. Kaźmierza na modlitwie przed bramą kościoła, śliczny rysunkiem i kolorytem. Św. Kazimierz w powłóczystej szacie ukląkł i modli się i trzyma ręce złożone, wyciągnięte przed sobą, wznoszące się powoli ku niebu. W rozmarzonej twarzy widne rozpłynienie się duszy w niebiosach a zapomnionie o wielkościach i nędzach tej ziemi, bo oczy zapadłe pod przymkniętą powieką widzą jasności boże. Postać cała narysowana wybornie, dla równowagi linij wszelakoż powinnaby szata więcej jeszcze być powłóczystą albo jedno z kolan klęczącego cofnięte. Tło architektoniczne gotyku prześliczne, toż silne oświecenie miesięczoe, więc Długosz niepotrzebnie może wziął z sobą latarkę.

Z krajobrazów przytoczymy najprzód, małe a cudne weselem natury, wnętrze lasu, Benedyktowicza z Monachium. Tyle tu światła uśmiechów, grą doskonałą przechodami swojemi w gamach zieleni i białych obłoków. Tuż obok krajobraz większych rozmiarów ukazujący zamek i park, poniżej staw, przezeń most a po nim pędzoną trzodę bydła chronionego przed zbliżającą się burzą. Płowe światło odmieniło pozór drzew, wody, brzegów jej, murów i dachów zamkowych. Cisza złowroga a duszność, — obłoki pozwieszane w rozlicznych odcieniach białawych, szarych i sinych, nastrzępione i najeżone jak złe moce jakie uszykowane do walki a wyczekujące piorunu hasła. Takaż cisza niedobra, głuchota, ociężenie jakieś i płowe pobłyski w duszy zmieniają pogląd na wszystko do koła przed namiętności wybuchem, że niewiesz co to ma znaczyć, bo ci tak dziwno i smutno.

Ale nie deszcz to, ciepły i cichy — burza całego nieobejmie serca; to namiętność postronna, chwilowa; skończy się fajerwerkiem i wielkim hałasem, — nieużyzni, nie napoi spragnionej duszy.

Naprzeciw umieszczono trafnie obok siebie, drobnych rozmiarów, jak owe malowania Ruysdaelowskie, trzy pejzażyki myślą i wykonaniem ze szkoły holenderskiego mistrza: Widok z okolicy Kielc, tudzież p. Grabińskiego: Przed Wschodem Słońca i Powódź. Na pierwszym z nich pośród prozaicznej łąki pod chłodnem niebem, ukryty w wyrwie ziemnej, w brudnych wodach potoku szamocący się, osiadł spracowany, zbutwiały młyn. „Przed wschodem słońca" o jutrzni duchowej widne w niepokoju kolorytu dokoła — szlachetne pojedyńcze linje szarej dzwonnicy obok cichej cerkiewki. Obie razem ogrodzone płotem, zamknięte w sobie. „W powodzi" znowu chata biedna, samotna, a zaleje ją woda, bo z niskąd pomocy niewidno; grunt jej utrzymuje jeszcze kilka wierzb posadzonych tnż obok. Wpatrzysz się w obrazki te i podumasz, że wszystko co pracowite, zasług pełne a zacne, — co szlachetne, sercem tętniące a święte myślą, — co biedne, — to samotne w tym świecie i opuszczone w starości — w nieszczęściu — jeżeli się odeń nieodgrodzi starannie. Byleby tylko siły nieopuściły, byle ścięgna wierzb nieosłabły i nieusunęła się ziemia.

Wykonanie pierwszego obrazku nieco za twarde w obłokach, za to koloryt w posępnych, rozlicznych tonach zieleni i brudno siwych, półświatłami ożywionych wód, trafnie dobrany. W pejzażach p. Grabińskiego wytkniemy na przodzie obrazu chmurkę zbyt zabarwioną pomarańczowo, podobną raczej do pękającej bomby w powietrzu, w drugim chyba nieprzezroczystość wód wydających się jakby zamarzły. Rysunek zresztą niepozostawia w nich nic do życzenia.

P. Eljasza z Krakowa chata górali sandeckich zaleca się dobrym rysunkiem; świeżo tam, zdrowo, rzeźko, ale głodno w tej chacie być musi.

Jana Zasche z Zagrzebia widok z pogranicza wojskowego — śliczny rysunkiem i kolorytem. Pośród kotliny wapiennych, nagich skał porozpękanych — na podniesieniu chata; tuż obok niej jezioro górskie. Nad całą sceną przestwór nieba mrocznego. To jakaś wielka, żyzna może niegdyś ale spustoszona dusza, bogata tysiącem rysów i szczelin do głębi tajemnych.

Kuchnia flisaków polskich p. Stryjowskiego w Gdańsku, na tratwie o zmierzchu gotujących przy ogniu wieczerzę, podczas gdy jeden z nich na skrzypkach przygrywa stojąc obok ognia, przypomina oświetleniem inne jego obrazy na tenże temat flisaków. Dalsze tła, horyzonty wyborne, rysunek poprawny, modre wody i pomarańczowo czerwone oświetlenie postaci tworzące piękny obfity w modulacje akord, ale szkoda że artysta nie zakrył płomienia, nieodbił jego światła albo go większym niezrobił, by usprawiedliwić za silne, choć bardzo ładne oświetlenie grajka.

P. Grabiński przysłał wiele widoków i szkiców z Bawarji i Tatrów ciekawych dla tych, którzy te miejscowości znają. Mamy też na wystawie kilka innych, a wcale ładnych widoków ruin zamkowych, partyj alpejskich itp.

Przypominamy, że pejzaże, jako przeważnie ciemnozielonej barwy, powinne być umieszczane na ścianie wiśniowej, jak przeciwnie portrety na szarozielonej — jeżeli takiego tła same nieposiadają, dla przeciwstawienia żółtawo białym albo czerwonym tonom karnacyj. Inaczej oko prędko się męczy w obu wypadkach, wywoływaniem w sobie reakcyj uzupełniających kolory; niemoże pozostać w spokoju i jednostajnej uwadze a niezadowolone wkrótce się odwraca. W braku odpowiedniego tła dobrze jest naprzemian zawieszać portrety i pejzaże.

Zapiski teatralne.

Gościnne występy p. Heleny Modrzejewskiej.
Romeo i Julja tragedja w pięciu aktach Shakespeara.

Każdy dramat, tragedja Shakspeara, komedja nawet, rozbudza mimowoli w czytającym te wielkie arcydzieła chęć wnikania w najskrytsze tajniki utworów, co obok najwyższej wzniosłości prawdą są przeniknięte. Badając przeto każde słowo tego poety, spostrzegamy w nim dwa pierwiastki, które on w jednę całość złączył, i zespolił jakoby jednym znakiem przymierza. Są to dwa pierwiastki potężne przenikające nieskończonym wdziękiem piękna wtedy, jeżeli, poezja w treści i formie — tchnie, dopełnia się wzajemnie, temi dwiema siłami. Otoż Shakespeare najwyższą *prostotę*, i *mądrość* w całej swej niezgłębionej przestrzeni zespolił z sobą, i to jest właśnie przyczyną co go uczyniło *wielkim*. Wyobraźnia i prawda, cała skala uczuć, naturalność, najbujniejsza fantazja, refleksja — wszystko to w najczystszej z sobą harmonji, wszystko to skupia się w każdem dziele poety; w żadnem jednak dramacie tak jasno się nieuwydatnia; w żadnem nielśni takim blaskiem skarbów tych potęg — jak w tragedji *Romeo i Julja.*

Mówiąc o Hamlecie zwróliśmy uwagę, że częstokroć ballada albo nowella bywa treścią do najgenjalniejszych pomysłów Shakespeara i wykazaliśmy, że Hamlet miał swój początek w legendzie. Przy rozbiorze znowu Remea i Julji wskazać nam wypada źródło, z którego poeta zaczerpnął i odtworzył tę tragedję miłości. Północno-włoski pisarz Luigi della Porta w jednej z nowel wydanych w r. 1535 zamieścił cały przebieg wypadków i nieszczęść dwóch rodzin Monttechi'ch i Cappelletti'ch, i ten czarowny a zarazem tragiczny koniec dwojga kochanków — Romea i Julji. Wzmiankowcną nowellę obszerniej opracował Matteo Bondello 1544 r. którą następnie historyk Girolamo della Corte żyjący w XVI wieku w historji miasta Werony umieścił, jako wypadek będący istotną prawdą.

Późniejsi jednak historycy jak Pianoro Zagota XVIII. wieku i współczesny Józef Venturi zaprzeczyli prawdy tej legendzie i udowodnili w dziejach Werony, wydanych przez siebie, że cała ta smutna tradycja dwóch rodzin zawistnych sobie, jest bajeczna.

Jakkolwiek bądź Shakespeare postacie nowelli prawie wszystkie przyjął do swojego dramatu, jednak nadał im cechę odrębnej indywidualności, zachował w nich charakter właściwy średniowiecznej epoce.

Tragedja Romeo i Julja najgłębiej może przenika serce człowieka, najwięcej porywa, najwięcej może pozostawia smutnego wrażenia po ostatniej katastrofie, bo osnowa tego dzieła, ta miłość najczystsza dwojga kochanków, — najbliższą jest naszych uczuć — jesteśmy w ciągłej nierozdzielnej łączności z bohaterami dramatu. Treści dramatu opowiadać niewidzimy potrzeby, tym bardziej że jest znany, a na rozbiór całkowity i wyczerpujący mało mamy miejsca; przystąpimy więc do oceny gry artystów poczynając od p. Heleny Modrzejewskiej.

Jedynym pierwiastkiem psychologicznym Julji jest uczucie, miłość. Julja bez uczucia, bez miłości, jest słabą, bojaźliwą nawet, miłość dopiero, czyni ją silną moralnie odważną! W rozwoju więc tej namiętności, w całym przebiegu wypadków radośnych i przerażających ujrzeliśmy jenjalną artystkę jak zawsze w blasku, i świetności; bo jeżeli Ofelja p. M. stała się jedną z jej kreacyj najpoetyczniejszych, to Julja obok poetyczności form i przejęcia się tym lubym, ale namiętnym charakterem kobiety, odkryła nowe piękno, inny jego odcień, który w wykonaniu p. M. znalazł najznakomitszą przedstawicielkę. Te sceny z Romeem, te chwile najwyższego szczęścia dla Julji w chwili miłości, scena z matką i mamką, to przejście gwałtowne uczuć, jakby z najponętniejszego pianissima, do gwałtowności tragicznej ta jej postawa, te ruchy plastyczne, wszystko w takiej harmonji — w takiej łączności z sobą estetycznej — że istotnie, albo podziwiać bez końca — albo w podziwieniu patrzeć i słuchać.... bo by trudno było określić słowami piękna, które artystka jakby czarem wywoływać umie. Scena w grobowcu — to przebudzenie się Julji, ta rozpacz kochanki i żony, przemówiła do widza uczuciem najwdzięczniejszej rozkoszy i strasznem uczuciem boleści.

Gdyby p. Woleński obok usilnej pracy, nawet poniekąd bardzo wielkiej, jaką poświęcił dla uwydatnienia Romea, dla wskrzeszenia wewnętrznego i fizjologicznego piękna, będącego charakterem, bohatera Shekespirowskiego, gdyby obok pracy, którą mu przyznajemy studjował jeszcze mimikę, deklamacją, akcję, słowem gdyby odcieniował choćby w połowie postać — tak ujmującą a zarazem tak tragiczną, byłby odpowiedział wyma-

ganiom sztuki, stałby się odzwierciedleniem pomysłu znakomitego poety. Ale inaczej stało się z Romeem p. Woleńskiego, poniekąd w samem pojęciu, poniekąd zewnętrznością i deklamacją był nieharmonijny i wywoływał chwilami wrażenie wręcz przeciwne zamierzonemu.

I tak, deklamacja p. Woleńskiego niema w sobie tych zalet, któreby obok spokoju, uczucia, słodyczy, zachowały całą potęgę zapału, namiętności, będącej wzniosłą naturalnością i właściwym cieniowaniem i modulowaniem głosu. Deklamacja zaś młodego artysty w chwilach głębszego i podniesionego uczucia przybiera nieprzyjemną intonację drżenia, w chwilach znowu zapału i namiętności jest jakby jedną skalą stacatta ciągle się podnoszącego, które w deklamacji jest raczej dyssonansem, zamiast być harmonijnem cieniowaniem. Co do mimiki, to twarz p. W. w roli Romea, w chwilach boleści przedstawiała raczej czarny charakter, jak np. Franciszka Moora, zamiast odzwierciedlić boleść wprawdzie okropną bo kochanka, który traci swój ideał, żonę — ale czystą, będącą wynikiem uczucia świętego, miłości. Brak więc było studjów nad Romeem, chociaż była praca; i jeżeli p. W. chce przezwyciężyć te trudności, które go krępują, niechaj odbywa głośne, ale częste ćwiczenia w deklamacji, niechaj mimiki i akcji uczy się przy zwierciadle, a z pewnością, może nie w krótkiem czasie, jednak może rozwinąć talent bardzo piękny, którego mu zaprzeczyć nie można wcale; lecz pierwej w studjach niech się stara p. W. aby głosem władał tak, żeby w tym głosie, czy to uczucie, czy zapał lub namiętność odbiły się właściwą intonacją i bez przesady, aby mimika odpowiadała wewnętrznemu charakterowi i uczuciom bohatera.

Niewiemy kogo mamy prosić, czy reżysera czy też dyrekcji, bo niewiemy istotnie, kto przy tutejszym teatrze wyznacza i rozdaje role, ktokolwiek to czyni, niech w imię sztuki i przez uszanowanie dla poety wycofa rolę matki Julji, w której występowała p. Zaleska, bo artystka ta w chwili naprężonego tragizmu, w chwili walki Julji w akcie IV grą swoją, niepojmując zadania swego zupełnie, do śmiechu tylko pobudzała P. Leszczyńskiemu tylko podziękować trzeba, że charakter Merkucia, pojął zupełnie, i z całą werwą uwydatnił. Merkucio bowiem to twór fantazji Shakespera, którego poeta obsypał całem bogactwem dowcipu, rozumu, werwy, głębokością myśli i zapałem. To wszystko przez p. Leszczyńskiego bardzo subtelnie było wykończone. Ks. Laurenty był wcale niezłym, słowem, że przedstawienie Romea i Julji, podczas występów gościnnych p. Heleny Modrzejewskiej należy do tych, które nas może po raz pierwszy niebardzo — ale zawsze zadowoliło. *S.*

Panna de Belle-Isle dramat historyczny w 5 aktach Aleksandra Dumasa.

Żal mamy szczery do p. Modrzejewskiej, że na benefis swój obrała sztukę tak miernej wartości, jak panna de Belle-Isle. Od artystek tak znakomitych jak ona, możemy żądać, ażeby nie tylko w pojęciu i wykonaniu ról, ale i w wyborze takowych zadowoliła zupełnie publiczność. Dramat powyższy, nazwany przez autora historycznym, nie jest nim bynajmniej, ani mu wielki jakiś dziejowy wypadek za tło służy, ani nie charakteryzuje epoki,— za kulisami odbywa się tam coś, co na tok wypadków historycznych nie wielki wpływ wywiera, tj. zmiana ministerstwa na dworze francuzkim, ale i to jest raczej intrygą dworską, a nie historycznym faktem. Samo przeprowadzenie dramatu, jakkolwiek w kilku scenach z wielką werwą dokonane, miejscami toczy się tak powoli i rozwlekle, intryga prowadzona w sposób, tak z góry dający przewidzieć jej rozwiązanie, że nie ma ta sztuka nawet tej zalety, jaką posiadają inne tego rodzaju dramata, że utrzymują widza do samego końca w naprężonej ciekawości.

Dramata takie, jak ten, pojawiać się powinne na scenie chyba wtedy tylko, gdy rola główna daje artystce obszerne pole do rozwinięcia swego talentu. Wtedy zapomina się o wszystkiem innem, i idzie się do teatru dla jednej roli tylko. W dramacie „Panna de Belle-Isle“ nawet i tego nie ma; rola tytułowa dla artystki takiej jak p. M. jest rolą bardzo zwyczajną i tylko scena z hr. Richelieu w akcie trzecim, i z narzeczonym w akcie piątym, przedstawia pewne trudności, bo z obfitą skalą uczuć łączy szybkie bardzo przejścia z jednego uczucia w drugie. Że gra p. M. w tej roli zadowoliła zupełnie, że były chwile, w których porywała naturalnością, nieskończenie piękną prawdą i łatwem pokonaniem wszelkich trudności roli — nad tem rozwodzić się nie potrzebujemy.

P. German rolę margrabiny oddała starannie, i miała chwile wcale szczęśliwe. Gdybyż chciała ustrzedz się przesady, która jest manjerą wszystkich prawie lwowskich artystek, a która nigdy nie zdoła zastąpić prawdziwej elegancji. Patrząc na artystów naszych zdaje się, że każdy przybywszy na lwowską scenę dostaje od dyrekcji najprzód tę naukę, iż nie powinien mówić jak ludzie mówią, ani też chodzić i ruszać się jak zwykle ludzie ruszają się i chodzą. Ztąd też przesada i nienaturalność w deklamacji, głosie, mimice, ruchach, w chodzie nawet — nienaturalność która nie tylko grze odbiera cechę prawdy, ale i piękna. A przecież prawda i piękno składają się na utworzenie dzieła sztuki.

Cośmy mówili o lwowskich artystach w ogóle, stosuje się także do p. Leszczyńskiego w roli Richelieugo, i do p. Woleńskiego w roli narzeczonepo Gabryelli de Belle-Isle. W obu widać było, iż role swe pojęli dobrze

wykonanie jednak pojęciu temu nie odpowiedziało. P. L. przybrał sobie dziwną manierę mówienia dwoma a czasem i trzema głosami, i to nie tylko w jednej roli, ale czasem i w jednem zdaniu, co okropnie razi. Nie jest to modulacja głosu, który jednym jest przez całą sztukę, a tylko różne przybiera barwy i cieniowania, ale są wręcz dwa różne, nieharmonijne, niezgodne ze sobą tony, dźwięczne czasem ale czasem tak zgrzytliwie się spotykające w środku zdania wygłoszonego, że nader niemile rażą ucho słuchacza. Tę samą dwoistość głosu spostrzegamy u p. Woleńskiego, choć już nie tak bardzo rażącą. Zapobiedz temu można tylko usilną pracą, ćwiczeniem się w deklamacji z dobrze wytężonem uchem na dźwięk własnego głosu, a może i kształtceniem się w muzyce.

P. Woleński ma niezaprzeczony talent — cóż kiedy sobie już wyrobił manierę i jest zawsze jednym i tym samym. Schylenie głowy nieco w bok wiecznie jedno i to samo, ściąganie ust w kształt wielkiego *O*, okrągłe trzymanie ręki wiernie skopiowane z niezbyt doskonałego wzoru p. Karola Królikowskiego, oto rażące wady, przyćmiewające zalety p. Woleńskiego, które to zalety objawiają się tylko wtedy, kiedy artysta w chwilach gwałtowniejszego uczucia silnie się rolą przejmie i o manierze swej zapomni. Wkrótce jednak maniera stać się może drugą naturą, a wtedy i silne uczucie nie zdoła jej pokonać.

Gdy zaś mowa o naszych artystach, przytoczyć musimy fakt, dowodzący jak o ich wykształcenie dba dyrekcja. Oto loże tak zwane aktorskie, z których artyści nasi podczas zwyczajnych przedstawień nie wiele nauczyć się mogą, podczas gościnnych występów p. M. oddano dla publiczności, a zatem wtedy, kiedy właśnie loże te powinne być zajęte przez artystki i artystów, dla których gra p. M. wyborną jest szkołą. Dla zyskania kilku guldenów odbiera p. Miłaszewski swym artystom możność kształcenia się na tak doskonałym wzorze, bo przecież nikt z nich tego wstydu swemu dyrektorowi robić nie może, by loże od niego kupował! I pod taką dyrekcją ma się nasza scena rozwinąć! *A.*

Don Carlos — tragedja w 5. aktach Fryderyka Schillera.

W niedzielę dnia 4. b. m. wystąpiła p. Modrzejewska w roli ks. Eboli w Don Carlosie. Nie jest to rola popisowa — skala uczuć nie tak rozległa jak n. p. w Adriannie. Miłość namiętna, przez czas długi żywiona nadzieją, a chwilami prawie pewnością wzajemnego uczucia, po doznanym zawodzie przechodząca w namiętną zazdrość i nienawiść nawet, prowadzącą aż do występku — a wreszcie w uczucie nieskończonego żalu i skruchy po dokonanym czynie, to w kilku słowach cała, bardzo prosta a naturalna skala uczuć, którą p. M. pojęła i oddała ze zwykłem sobie mistrzostwem. Nie pojęła ona ks. Eboli jako zwyczajną kokietkę, jak inne artystki — ale jako namiętnie kochającą kobietę, którą ta miłość nawet na własny błąd czyni ślepą. Szczególniej znakomicie oddaną była rozmowa ks. Eboli z królową w akcie czwartym, gdzie żal, rozpacz, skrucha i wstyd zarazem odbiły się w każdem słowie, w każdym ruchu, w każdym rysie twarzy naszej artystki.

Zbyt wiele miejsca zająłby nam szczegółowy rozbiór gry innych artystów. Dobre chęci p. Szymańskiego, który grał rolę tytułową, zasługują na wszelkie uznanie. Mimo całej pracy, nie pozbędzie się on już swej wiecznie jednej maniery — nie pozbędzie się tej monotonji gry. O każdym ruchu p. Szymańskiego wiemy naprzód jak wypadnie, od początku do końca roli jest on zawsze... p. Szymańskim, tak jak król Filip nie Filipem był, ale panem Królikowskim; Poza nie Pozą, ale p. Leszczyńskim. I ponoś za dzisiejszej dyrekcji już się to nie odmieni.

Rzecz śmieszna, że recenzent musi podnosić nieraz rzeczy drobnostkowe bardzo, na które dyrekcja czy też reżyszerja powinna przy próbach zwracać uwagę artystów. I tak p. Szymański, choć już tyle lat jest artystą, i tyle set razy miał pałasz lub szpadę przy boku, dotychczas nie nauczył się nosić szpady, ale zawsze wagą lewej ręki tak rękojeść nachyla ku ziemi, że dolna część szpady podnosi się do góry, a koniec jej sięga nieraz ramion p. Szymańskiego. Szczególniej komicznie to wygląda, gdy podniesiona w górę szpada, udrapowaną jest hiszpańskim płaszczykiem. W chwilach najtragiczniejszych, widok ten obudza szczery śmiech publiczności. *A.*

Kronika literacka.

Z działu literatury nadobnej zapisujemy warszawskie wydanie pism Józefa Korzeniowskiego, których tom drugi wkrótce się pojawi. Tom pierwszy z portretem autora zawiera: Życiorys Korzeniowskiego napisany przez F. H. Lewestama. — Spekulant, Kollokacja, Wędrówki Oryginała, Podziękowanie, Exekwja. — Podobne wydanie wyboru dzieł Kraszewskiego rozpoczyna lwowskie wydawnictwo Bibl. Romansów i Powieści. Spodziewać się należy że te nowe wydania dzieł ulubionych dwóch pisarzy naszych, znajdą się w każdym domu polskim.

Wł. Koziebrodzki ogłosił w krakowskiej bibliotece teatralnej szkic dramatyczny p. n. Klaudja.

Wydawnictwo Romansów i Powieści przyrzeka dać w następnych tomach: I. J. Kraszewskiego: Na cmentarzu — na wulkanie. — Z. M. Schwartz: Żona męża próżnego. W. Berserio: Rina, współczesny romans włoski.

Warszawa wydała dwie nowe powieści: Nie w porę, przez Teresę Prażmowską — i Kobiety i Mężczyźni, Józefa z Mazowsza.

Nakładem Biblioteki kurnickiej wyszedł pierwszy tom Mów Cicerona, w wybornym przekładzie E. Rykaczewskiego, z wstępem napisanym przez tłomacza. Spodziewamy się także wkrótce drugiego tomu mów Demostenesa, w przekładzie Andrzeja Oskarda, których tom pierwszy wyszedł w r. 1869. Tłomaczenie także staranne chociaż nie dorówna pierwszemu. Naszym posłom sejmowym polecamy usilnie te zbiory, a możeby i kazania Skarg się przydały. Wszak wymowa — to także rzecz studjów i pracy Przy tej sposobności zalecamy wyborną książkę Commernina (Timon), das Buch der Redner.

(NADESŁANE.)

Wydział Towarzystwa „Przyjaciół sceny narodowej wraz Dyrekcją szkoły dramatycznej" rozesłał zaproszenia **na popis sceniczny szkoły dramatycznej,** który się odbędzie we wtorek dnia 13. Czerwca 1871 w teatrze umyślnie na ten cel urządzonym w ujeżdżalni p. Leśniewicza. Program przedstawienia: „W KRAINIE SZTUKI". Prolog alegoryczny w jednym akcie ze śpiewem i chórami, napisany wierszem przez Bronisława Zawadzkiego. Muzyka Karola Kozłowskiego. „WŁÓCZĘGA." Dramat w jednym akcie z francuskiego. „NIKT MIĘ NIE ZNA." Komedja w jednym akcie oryginalnie napisana przez Alex. hr. Fredra. Muzyka wojskowa pod kierownictwem p. Karola Kozłowskiego. — Dekoracje nowe pędzla p. Józefa Baranowskiego. Ceny miejsc: Kanapa 5 złr 20 ct. — Krzesło w pierszych rzędach 1 złr. — Krzesło w dalszych rzędach 80 ct. — Wstęp na salę 40 ct. — Galerja Biltów dostać można codziennie z rana od godziny 10. do 12., po południu od 4. do 6. w kancelarji Przyjaciół sceny narodowej w gmachu teatralnym hr. Skarbka i w kasie przy wejściu na przedstawienie. — Członkowie Towarzystwa przyjaciół sceny narodowej płacą połowę ceny i raczą się zgłosić po swe bilety do kancelarji Towarzystwa najdalej do poniedziałku wieczór. Początek o godzinie pół do 8.

Bank „Patria”

wzajemnych ubezpieczeń na życie w WIEDNIU

ma zaszczyt podać do powszechnej wiadomości, że **jeneralna Reprezentacja dla Galicji i Bukowiny z siedzibą we LWOWIE** powierzoną została panu

Romualdowi Makarewiczowi,

z tego powodu upraszamy we wszystkich sprawach naszego Banku dla Galicji i Bukowiny dotyczących, udawać się do wymienionego Pana.

Wiedeń, 22. maja 1871. **DYREKCJA.**

Powołując się na powyższe zawiadomienie, zwracam uwagę, że **„Bank Patria“** rokujący świetną przyszłość, jak dowodzą sprawozdania, oparty na wzajemności, **rozdziela zyski między ubezpieczonych członków jako dywidendy**; przezco premie roczne najtaniej oblicza, a tem samem względom Szanownej Publiczności rzetelnie poleconym być może. — Staraniem usilnem będzie jeneralnej Reprezentacji spiesznem i bezpłatnem udzielaniem wiadomości co do sposobów ubezpieczeń obznajomić każdego z korzyściami tego Zakładu i czynić wszelkie możliwe ułatwienia.

☞ W każdym politycznym powiecie będzie utworzoną agentura za odpowiedniem wynagrodzeniem; chęć mający kompetować, raczą wnieść podania pod adresem jak niżej; zaś osobiście zgłaszającym się wskaże kantor pana Jakóba Stroh miejsce, w którem kancelarje umieszczone będą.

Jeneralna Reprezentacja „Banku Patria“

wzajemnych ubezpieczeń na życie dla Galicji i Bukowiny.

Lwów, 25. maja 1871.

Romuald Makarewicz.

OBSYPYWACZE poprawne, } do kartofli, buraków i kukurudzy.
PLEWACZE,
GRABIE Howardowskie **oryginalne** angielskie.
SPYCHACZE, do siana.
PRZETRZĄSACZE, do siana.
MŁYNKI do czyszczenia zboża,
utrzymuje na składzie
Arnold Werner we Lwowie.

Józef Badowski

Jubiler i Złotnik,

we Lwowie, rynek Nr. 160, poleca

SWOJĄ PRACOWNIĘ

oraz

gotowe wyroby złotnicze

w najnowszym guście.

Przyjmuje także wszelkie naprawy tychże wyrobów jakoteż kościelne roboty: złocenie kielichów i t. d., które po najmierniejszej cenie i w najkrótszym czasie uskutecznia.

Józef Eder

fotograf,

W HOTELU ANGIELSKIM

we Lwowie.

FABRYKA

żaluzyj i storów drewnianych

3—6 **J. S. JÜRGENSA**

we Lwowie,

wyrabia i sprzedaje po cenach fabrycznych:

Żaluzje taśmowe lakierowane, **Story** drewniane tkane w różnych kolorach i deseniach oraz z malowidłami, **Parawany, Zasłonki** do okien, pieców i kominków, **Antypedja kościelne, dywany** na łóżka, **Nakrycia** na stoły i t. p. i t. p.

☞ Zamówienia podług wzorów uskuteczniają się w najkrótszym czasie, przyjmują je także handle pp. *F. B. Hahn* w Krakowie, *K. Kopacz* w Stanisławowie, *J. I. Szęgierski* w Czerniowcach, *P. Krohn Bolzandahl* w Jassach, *Lewicki, Iwanicki i Ludwikowski* w Kijowie, *K. Brossmann* w Jarmolińcach.

Świeże Wody mineralne

sprowadził tego roku **PO RAZ PIERWSZY**

nowo urządzony **HANDEL KORZENNY** **F. A MERRELLA** pod *„Srebrną gwiazdą“* ulica Halicka l. 295.

Zamówienia uskuteczniają się bezzwłocznie i jak najakuratniej.

Wydawcy: *J. Śliwiński* i *L. Wisłocki.* — Odpowiedzialny redaktor: *Jan Śliwiński.* Druk K. Pillera.